

Ł A C Z N I K

Miesięcznik młodzieży Państwowego Seminarjum Naucz. Im. M. Brzezińskiego w Leśnej-Podl.

Na dzień 10 lutego 1930 r.

„— Baczość!”

Trzask zamków. Łomot. Postuk miarowy...
I pokład jęczy pod rytmem kroków. —
Znów trzask urwany. Wraz z ciał natłoku
Zwarty czworobok w zlepie stugłowym.

„— Prezentuj broń!”

Zmilkł dygot maszyn, ucichł plusk śruby...
Szczęk dźwigów z korby zgrzytem się ściera—
Zwolna po maszcie pnie się bandera,
Pierś orlą prężąc pod masztu czubem...

„— Salwa... Pal!”

Huk stu gardzieli leci nad fale,
Roztrąca grzbiety, rozperla w pianę
I wsiąka w morze, co wód taranem
Napiera burzę o harczie stali.

— — — — —
— — — — —
— — — — —

„— Vivat. Floreat. Crescat!”

Głos triumfu wzlata nad portu rojem,
Nad gwarem fali, nad ciszą zatok,
Odpłóczysk nagich obiega szatę
I w perciach jarów echem się dwoi... — — —

Miroslaw Fligier—kurs IV:

Polskie morze.

Dążność naszego państwa do oparcia się o brzeg morski przejawia się od najdawniejszych czasów. Już Bolesław Chrobry, oparł granice swego królestwa o Bałtyk. Czynniki popierał i prowadził jego myśl Bolesław Krzywousty. On zajął pas nadbrzeżny od Wisły aż za Odrę. Rozbicie dzielnicowe wpłynęło na osłabienie Polski i spowodowało utratę dostępu do morza. Wprawdzie po śmierci księcia pomorskiego Mszczuja II Pomorze zostaje przyłączone do dzielnicy Przemysława, jednakże trwa to bardzo krótko. Sprawdzeni krzyżacy murem niemieczyzny odgradzili Polskę od morza. Płowce i Grunwald nie zdołały odzyskać dostępu do Bałtyku. Dopiero Kazimierz Jagiellończyk dokonał tego dzieła. Jego następcy byli już władcami morskimi. Nie umieli oni jednak wykorzystać nader ważnego stanowiska. Popelnili mnóstwo błędów, nigdy nie dających się poprawić. Wieki XVII-ty i XVIII-ty to upadek Polski. Rozebrano Ją doszczętnie.

Po przeszło półtorawiekowej niewoli zjawia się znowu Rzeczpospolita na karcie Europy. Nowe państwo zupełnej pragnie teraz swobody, o brzegi morza więc się oprzeć musi. W imieniu Rzeczypospolitej spełnia generał Józef Haller, symboliczne misterjum zaślubin z morzem. Raduje się sędziwy Bałtyk, szumią poważnie jego fale, cieszą się z tego, że Polska powstała. Witają pierwszy statek polski. Całują go. Radośnie podnoszą i niosą na swych barkach. Wołają: „Polska jest niezależna od nikogo, bo Bałtyk to podstawa Jej świetności i potęgi“... Witaj nam stary Bałtyku! Już nam cię nikt nie wydrze! Powstała flota handlowa i wojenna rok rocznie się powiększa. Powstaje Gdynia — nasz morski port. Dziesięciolecie istnienia zmartwychwstałej Polski wykazało wartość tej morskiej placówki. Dbać tylko o nią należy i dba o nią naród. Zrozumiał jej znaczenie. Nie szczędzi ofiar na wielki cel. W lutym b. r. cały naród obchodził dziesięciolecie zaślubin z morzem. Duże polskie płyną ku północy i hołd składają Bałtykowi, tej naszej bramie na świat. On szumi z taką radością, jaką nigdy nie tchnęła żadna z jego potężnych pieśni. Marzy. Z głębin serca swego dziękuje za hołd i miłośnie głaszcze brzegi polskiej ziemi.

St. Ostrowski — III k.

* * *

W dniu 10 lutego 1930 roku minęło lat dziesięć od chwili, gdy dowódca pomorskiego frontu generał broni Józef Haller dokonał zaślubin Polski z Bałtykiem. Jeszcze niedawno, bo ledwie przed kilku laty, Polska nie miała swego portu i musiała korzystać tylko z niechętnego nam portu — Gdańska i portów niemieckich. Flota handlowa ani wojenna nie istniała.

A dziś po dziesięciu latach władania morzem, Polska zbudowała swój własny port w Gdyni, który rozwija się w amerykańskim tempie. Przed dziesięć laty Gdynia była małą wioską i miała ledwie kilkuset mieszkańców; obecnie jest miastem, liczącym trzydzieści dwa tysiące ludności.

Flota handlowa również z każdym rokiem powiększa się dzięki staraniom rządu i ofiarności obywateli. Przedsiębiorstwo państwowe „Żegluga Polska“ zakupiło kilkanaście okrętów towarowych, tworząc zaczątek floty handlowej. Prócz tego kilka towarzystw prywatnych posiada własne okręty do przewozu węgla i pasażerów. Marynarka wojenna składa się: z jednego transportowca, z jednego okrętu hydrograficznego, jednego okrętu szkolnego, trzech łodzi pływających, dwóch kontrtorpedowców, pięciu torpedowców, dwóch kanonierek i czterech trawlerów. Prawdopodobnie w krótkim czasie powiększy się jeszcze ta siła, gdyż jest ona za mała, aby na wypadek wojny mogła podjąć jej trudom. W każdym razie Polska powinna dążyć do stworzenia silnej floty wojennej i handlowej, gdyż przez to wzrośnie dobrobyt i potęga narodu.

St. Romanowicz — III k.

PRÓBY LITERACKIE.

W leśnej ustroni.

*Ciężkie się wloką chmury po błękitach,
Snują się niby potwory w przestworzu.
Ostatnie tchnienie wiatru gdzieś w podszycie
Zapadło z jękiem, zniknęło jak w morzu...*

*Jeszcze się echo westchnienia woddali
Głuchym poszumem odbija wśród kniei,
Lub jak zaklętych rycerzy ze stali
Głosem tłumionym, głosem beznadziei...*

*Cisza wokół... Czasem tylko ziemia
Jękiem tęskliwym głucho gdzieś zagada,
Czasem szczeł dźwięczny na chwilę oniemia
Pogwar drzew starych — i kędyś zapada...*

*Bór groźny stoi, jak grzbiet gór z granitu,
Ciemny, posępny, straszny w swej potędze —
W jego otchłani zagadkę prabytu
Czytasz jak w dziwnej, tajemniczej księdze...*

Stanisław Łepecki — kurs IV.

Graalowe pielgrzymy.

Nauczycielom — szarym i cichym rzeszom siewców ziarna nauki, apostołom pracy nad duszą i sercem młodych pokoleń, rybałtom dalekiego i zmudnego wędrowania po owoc Człowieczeństwa.

Oparł się o gzemsy wrotni kościelnych i stał przywarły do muru, by świętek w drzewie czarnem rzeźbiony. Słyszał, jak z wnętrza Pańskiej świątynicy, poprzez kruchty gardziel, rozpierały się w potężnym choć przygłuchłem nasileniu przeciągłe, żarliwe a zawodzące hymny.

Wrzaz z niemi i jemu cisnęły się słowa skruszonej ludzkiej modlitwy. W piersi drgały korne westchnienia. Niepokój chłodny, w zbliżeniu sługi do Stwórcy powstały, wzierał mu w serce silnie a żartko bijące.

Z bolesnem zaciśnięciem powiek naprężał się, by szumem krwi w uszach zagłuszyć odgłos wtóry, co ścierał się gwałtownie z echem kościelnych pieśni — odgłos gwarny pobliskiego rynku, hałaśliwy, wrzący i piejący się skipieniem tłumnego życia.

A głos ten coraz jak zły płomień owiewał go swym żarem. Czasem sypnął śmiechu gwarnym pobrząkiem, lub igrów dzikiej piosenki swawolą wtargnął mu do mózgu, zakłócił modlitwne westchnienia i szatańskim chichotem rozgwar w nich począwszy, umykał, by dalej roztrącać ludzkich skruch i zbożności modły. Czasem znów lekko, cicho i niepozornie rozedrganiem błazeńczych dzwonek sypał się w słuch niebacznie uchylony i jak osy bzykanie niecierpliwił a gniewne myśli rozdmuchiwał.

Zachnął się rybałt)* i płaszczem okrywszy się szczelniej, wsunął się w chłodny mrok kościoła, cicho przeszedł popod zadumaniem kolumn i filarów, ukląkł w załamaniu ścian i, by snadniej modlić się mógł, — twarz zasunął w zgrzebne fałdy kaptura.

Wargi szepcą słowa, szeleszczące sucho w rozpalonych wargach. Oczy raz wgniezione w głąb sękami zaciśniętych kutałów bolą i jątrzą mózg gorączką beładnych obrazów. Twarz w kleszcze rąk zamknięta drży grą rozedrganych mięśni. Czasem nagłe w niej skurcze boleści, czasem bezruch zastygły — a już ciągle toczą się wspomnień odżyłe widziadła. I gdy mająk żałosliwy osmęci pamięć — z piersi podnosi się ciężkie, głuche westchnienie i ciśnie się ku gardłu, ością wzruszenia tchawicę podrażni i łez nawisem kroplistym orześci powieki.

I stają przed oczyma dawno przeżyte obrazy-

To pacholeca niefrasobliwość, igry swawolnej rozpląsanie, to nierychłych smutków rozżalania, to zachwyty radosne osłupienie, lub rojnych harców chichoty. Aż póki uporem myśli nie rozewrze się główne jądro pamiętek.

*) Rybałt — kantor, śpiewak, wędrowny nauczyciel.

gdy żakiem był, gdy w chciwem zapamiętaniu słuchał mądrości mistrzów i pochłaniał ich słów karmę najsytniejszą. Hej, — radosny i jasny czas!

Wesoło a rażno biegał wówczas z pękiem pergaminów w garści. I miłe były nocne niedospania i miłe chłodu i głodu częste bolączki i kolce — by jeno coraz światlejsze myśli, co głębsze zagadki wiedzy krzesaly się w nauki spragnionym mózgu. Weselne i brzemienne latal... Aż przyszło to, co twardym i ostrym grotem wbiło mu się w duszę, że i teraz ogniem niewiadomym go oblewa... Przyszło w słowach starego mistrza, który rozplomieniał mu w uczuciach dziwne i nowe żary, wlał w gorące i zapalne serce nowych pragnień i idei ogień.

Przyszedł błędliwy starzec — rybałt niewiadomo skąd. Mówił, że schodził świat cały, że przebieżał z rzeszami innych błędników i Świętej Ziemi piaski i Grecji i Italji rubieże, Galji, Niemiec niwy — chodząc szlakami Graalowego szukania.

Wszystkie myśli, wszystką wewnątrz swej duszy wlewał w duszę młodzieńca. „Na młode siły“ — jak mawiał, przekładał gorączkę swoich dociekań i błędzeń. A chłopiec mienił się pod zalewem jego słów. I powoli poczynano go opanowywać to, co setnym gromadom błędnych rycerzy, rybałtów półszalonych, zaków a kierków niedokończonych iść kazało po szukanie świętego naczynia. Rozszumienia lasów, ponęta pól otwartych ciągnęły do się młodzieńca.

Stary nagle zachorzał.

Długo gorączkował. W mamidłach i omajaczeniach gadał jakieś szalone słowa, znęcał się nad nędzą swych członków, że młody siłą musiał mu wyrwać różgi i pętle z zaciśniętych palców.

Aż raz nocą burzliwą, gdy szerezoga wodna siekła o sciany, a pioruny huczały i przewalały się po czarnem, smolistem niebie, — stary rybałt wstał przytomny, jeno z jakimś ogniem w szeroko rozwartych oczach, — obudził żaka i wywiódł, mimo jego opór, na chłód i zimno nocy.

Gdzieś na rozstaju granicznym zatrzymał się. Padł pod Męki Pańskiej krzyżem. Miody stał otulając się szatą płaszczu siermiężnego. Aż wraz stary podniósł się, podszedł ku niemu i wpił się przejmującym żądłem spojrzenia w łekliwe oczy młodzieńca. Raz wraz błyskawica rozdarła niebo i w jej sinem rozjaśnieniu twarz starego rybałta błyskała błałością rysów i ogniem oczu, z których sączyło się teraz jakieś możne zapamiętanie... Mówił, a z każdym słowem nowa iskra wpadała w duszę młodego, aż wybuchnął płomień, który palił, żarł a pędził — pędził gdzieś w świat, kazał biec w noc, w bezdroża, na zimno i szarugę...

— „Szukaj Graala. — Szukaj Graala... *w sercu swem!*“...

I oderwali się. Odpadli od siebie, jak w wirze odmetnym dwa konary jednego pnia — rozdarte falą. I poniosło ich w przeciwne strony to nowe szukanie...

Zwolna podniósł głowę i rozpalonem czołem przygłnął do szarości zimnych, wilgotnych murów. Drżał cały. Święte a mocne wzruszenie Bożego

ognia paliło mu wszelkie ziemskie włókna duszy. Czuł w sobie Mojżeszów krzak gorejący — i zimno wszystkim człowieczej niemocy. Czuł, że omdleje za chwilę, więc czepiając się wypuklin ściennych, wstał i chwiejnym krokiem począł iść ku drzwiom.

Zstępował ciężko ze stopnia z uczuciem, że musi gdzieś pójść, naprzeciw temu, które przyjdzie niedługo.

Doszedł do rynku.

Wolnemi ruchy odsuwał z przed się zwarty, rozkołtysany łan tłumu. A wokół huczało życie. Pod rozgwar kupczy, pod wrzaski gołogusów*) i sztukmistrzów, zwodliwe a gorące goljardów**) pienia, kramny rozhovor targów, pod przeciągłe, głośne skoczków zapowiadania i cygańskich tamburynów dzwonki, pod rozpląsania a bachandrje uwodnych, smągłych almej***) — parła i odurzała zmysły gorąca, pijana, żarna oskomina harców, tanów i uciech.



„Betleem Polskie” — L. Rydla Finał krakowskiego wesela. (Akt I)

W nogach plątały się chyłkiem psich grzbietów ukradkowe przeloty, czepiały szat drzące, sine a czerwone zropieniem ran i oboleń — ręce łakomych torbiarzy, kalek beznogich i ślepych, a nierzadko i lisie posunięcia złych dłoni, sakwy macających.

Zwolna musiał posuwać się rybałt. Przez popychania barków męskich, przez zapłoty niewieścich spódnic i chust kroczył niepomny uwodeń i zachęę przekupniów.

Tak doszedł do miejskich bram i zostawiwszy za sobą klamry, łańcuchy i bale mostu — zagłębił się w cień przydrożnych drzew. Szedł wolno,

*) Gołogus — błazen.

**) Goljard — aktor wędrowny.

***) Almeja — tancerka indyjska.

a ciągle — wsłuchany w ptasie melodie i gwizdy, w świerszczów bzykania monotonne, a żytnich kłosów szmery, po których, lekko je chyląc, ślizgał się ciepły dech powietrznej przestrzeni.

Gdy już miejskie mury zniknęły mu z oczu, gdy skwar południa wytoczył na twarz krople potu, a głód jął doskwierać mocno — zległ w cieniu gruszy rosochatej, w podnie przydrożnego krzyża, by posilić się a spocząć nieco.

Leżał. a zwolna bezwład letniego dnia, muzyka pól otwartych i pieśszczyoty wiatru zesłały nań lekki, pajęczy baldach snu.

— — — — —
... I dopiero stuk kostura, skrzyp żwiru a powłóczenie starczych nóg obudziło go...

Targnął nim nagły, a gwałtowny spazm...

... Patrzyli na się w niemem osłupieniu. Tchy im w piersiach zamarty, w skroniach tętniły młoty...

Starzec drżał, a z ciemnych jego, przekrwionych chłostą lat, oczu spływały dwie wielkie, jasne łzy, — toczyły się poprzez brózdki i zmarszczenia lic — aż padły ciężko w pył przydrożny.

— „Szukasz Graala, synu?”

— „Przeszedłem świat i serce moje należy tylko do Boga”.

Załkał stary rybałt i znów, jak dawniej, podszedł pod drzewo Męki Pańskiej — i upadł — i modlił się.

... A gdy się podniósł — na obliczu jego jaśniała luna i blask.

... I zaczął mówić. Z początku głos jego był cichy i drżący — lecz coraz wzbierał, potężniał i drgał tak przejmująco, tak silnie, że młody w niemym zachwycie i zasłuchania upadł u stóp starca i zastygł bezruchem, — a jeno czasem, gdy słowo silniej i twardziej zabrzmiało — ikał zeicha...

— „Od rajskiego grzechu żyli ludzie, jak żyją ślepi i głusi. Czynieili źle, nie wiedząc, lub nie chcąc wiedzieć, co Zło i co Dobro. I Bóg zsyłał na nich kary, chroniąc jeno tych, którzy sercem się kierowali i na brata nie mówili „łotrze“, a na łotra nie ciskali kamieniem. Aż zlitował się Pan nad światem, a jak był przyobiecał — zstąpił na ziemię, między ludzi.

„I pokazywał życiem swem, jako wygląda Człowieczeństwo prawdziwe. I patrzył naród: jak Chrystus miłował braci swych, ludzi, jak pokazywał wrogowi swemu przebaczać, jak miłować nieprzyjaciół swoich, a grzesznika nie potępiać. I ażeby największy przykład dał — ukrzyżować się pozwolił, z krzyża jeszcze mówiąc: „Wybacz im, Panie“. A naród jeszcze nie rozumiał Boga. I byłby wrócił do dawnej ciemności i byłby zameczył proroki — apostoły Pańskie — i znów nie wiedziałyby co Zło a co Dobro. Więc po Wniebowstąpieniu Swem Chrystus zapragnął zesać na ludzkość część Swojej wielkości — całą moc Jego ziemskiego życia — Człowieczeństwo Swoje. I ażeby ono weszło w dusze ludzkie i w nich mieszkało. A chciał je zamknąć w krwi Swej Przenajświętszej, jako był już powiedział: „Krew Syna Człowieczego należy do wszystkich ludzi“. I Aniołowie znieśli na ziemię Krew Chrystusową w naczyniu, które się nazywało Graal. I choć już

dar Boży wstąpił w dusze ludzkie — oni nie odczuli tego. A słysząc o Graalu, biegali wokół szukać go, sądząc, że ma on siłę czynienia dłuższym życie i odejmowania chorób. A różni ludzie to słyszeli i różnie myśląc, szli w drogę, nazywając ją Graalowym szukaniem“.

Umilkł na chwilę starzec, poczem podjął młodzieńca z ziemi, uściskał go serdecznie i już cicho, głosem równiejszym począł dalej:

— „Synul I ja biegałem z innymi, i ja go szukałem. Przy końcu żywota dopiero dał mi Bóg poznać, czym jest Graal. Odczułem to. Gdy zaś już starość mię naszała, pragnąłem przelać myśl swego życia na młodszego od siebie. Bóg nas połączył — i tobie przekazałem dzieło mego życia. Powiedziałem ci, gdzie masz szukać Graala i kazałem iść, byś uczył się w świecie, byś życiem zmył swą ziemskość z duszy, jak piaskiem się ściera brud, który przecie także z piasku się rodzi. Przeszedłeś pierwszy etap swej drogi. Otwiera się teraz przed Tobą nowy szlak: szukanie Graala... *w sercach braci—ludzi*. Wielka to cnota być szlachetnym, być człowiekiem, większą jednak jest zasługa budzenia cnoty tej w bliźnich swoich. I to jest apostołstwem, które podnosi ludzkość do ideału człowieczeństwa, jaki dał nam Chrystus życiem Swojem.

„Synu mój, rozejdziemy się teraz na zawsze. Ja pójdę już gdzie mię wzywa Bóg, — ty idź w życie i stań w szeregu tych, którzy słowem i czynem wychowują młode pędy ludzkości. A gdy napotkasz podobnego sobie, jak ja ciebie napotkałem — ucz go i wciągaj na prawy szlak Graalowego szukania, iżby coraz bardziej powiększał się zastęp Graalowych pielgrzymów“.

...I uścisnęli się poraz ostatni. Łzy żalu i bolenia sercowego poraz ostatni zmieszały się we wspólne stopienie, jak i serca ich stopicne były wspólną miłością ludzi i wspólną wiarą w moc swego postannictwa.

...A gdy się rozchodzili — słońce właśnie kończyło swoje podniebne wędrowanie i tarcz jego czerwona i gorąca, jak ta wnętrz Graalowego naczynia — wisiała nad sinością pól i lasów.

...I młody rybałł jął iść w to światło i lunę... Promienie zlały się u jego stóp w kcbierzec barwny a lśniący, w alherunt*) złocisty i drgały różmigotaniem tęczy, rozblaskiem światłości nieziemskiej. Graalowy szlak...

...I w zachwyceniu apostołskim ujrzał on Boży pielgrzym, jak za nim coraz więcej szarych postaci przyłączało się w korowód nieustanny, który sunął zwolna, a ciągle — sunął Graalowym szukaniem po Chrystusowy świt, po prawdziwe i wielkie Człowieczeństwo...

Miroslaw Flüger — kurs IV.

*) Alherunt — tkanina drogocenna.



ś. p.

Albin Gładun

absolwent Seminarjum, zmarły d. 22 lutego b. r.

Lata cichej a wytrwałej pracy w pogoni za prawdą,
której siewcą stać się miałeś,

obraz młodzieńczych sił i zapału w najwspanialszym
rozkwicie, jakim była wiosna Twego życia — wszystko
jednej chwili zmienione w nicłość.

Nie danem Ci było oglądać owoców rozpoczętej,
szczytnej pracy: odszedłeś, zostawiając po sobie tylko
wspomnienia razem spędzonych chwil, szczery żal, oraz
należną

cześć Twej pamięci.

DZIAŁ PEDAGOGICZNY.

Wpływ lektury na dziecko.

Jednym z czynników oddziałujących na dziecko w wieku szkolnym jest literatura.

Odpowiednio przez wychowawców dobrana i podsuwana, zamiast kierować na błędne ścieżki, daje dziecku możliwość poznania świata, ludzi i zjawisk.

Dziecko otacza szczypty zakres przejawów życiowych, szersze horyzonty poznaje dopiero za pośrednictwem książki. Żądę poznania należy więc zaspakajać przez dostarczanie książek, oddziaływujących na dziecko w kierunku dodatnim. Na wrażliwą duszę zawsze silniej działa plastyczny przykład, niżeli nudne wywody teoretyczne.

Należy rozróżnić literaturę dla wieku dziecięcego odpowiednią i szkodliwą.

Dobra książka nietylko pozwala czas przyjemnie spędzić, lecz daje też głębsze korzyści, albowiem wzbogaca umysł, kształci wolę i uczucia, rozwija inteligencję i dobre skłonności.

Nieodpowiednia lektura, trafiając na umysł nieprzygotowany, pobudza dziecko do błędnego myślenia, wzbudza niepożądane uczucia i niewłaściwe ustosunkowanie się do poszczególnych, często nieznanych jeszcze, zagadnień życiowych.

Szkodliwa jest zwłaszcza literatura o treści sensacyjnej, kryminalnej i erotycznej, bo ta oślepia i demoralizuje przez przedstawienie różnych ciemnych stron życia moralno-społecznego. Takich książek bezwzględnie w bibliotece szkolnej nie powinno się pomieszczać.

Książka w duszę dziecka wsączać powinna nie jad, lecz idee prawdy, dobra i miłości wzajemnej, które niechaj dziecko stara się poznać, a poznawszy — ukochać.

Tego rodzaju książka winna znaleźć się w rękach dziecka i niem całkowicie zawiadnąć. Nietylko jednak wychowawczą, ale i literacką wartość książka mieć powinna. Utwory płytkie i pozbawione wartości estetycznych pozostawiają niesmak i zamęt. Zarówno treść jak i styl winny być proste i zrozumiałe, by wzbudzić zainteresowanie i przynieść pożytek.

Wpływ na wyobraźnię dziecka mają utwory fantastyczne, które — o ile treścią nie przekraczają granic zdrowego rozsądku — mogą stanowić pożądaną lekturę.

W rozumieniu treści pomocną rolę spełniają ilustracje, które powinny piękno łączyć z pożytecznym. Druk aby nie był szkodliwy dla zdrowia, musi być tłusty, duży i wyraźny.

Jeżeli wychowawca dbać będzie o należyty dobór książek do biblioteki szkolnej i dostarczanie wychowankom odpowiedniej lektury naukowej, estetycznej a głównie moralnej — wzbudzi zainteresowanie się literaturą i świadomą a gorącą miłość języka ojczystego.

Jan Seweryn — kurs IV.

NASZE ŻYCIE.

„Łańcuch pracy“ ku uczczeniu dziesięciolecia naszego Zakładu.

Do „Łańcucha“ stanęli w dalszym ciągu następujący koledzy:

1) Kol. M. Czarnocki (k. III), L. Gołwiew (k. III), B. Chwedkowski (k. III), J. Kosiński (k. II), H. Wróblewski (k. II), T. Stańczuk (k. II) i Z. Dziedzic (k. II), którzy pracowali nad kataiogowaniem biblioteki Seminarjum. Do pracy w „Łańcuchu“ powołują koledzy: T. Szaniawskiego (k. III), M. Kryńskiego (k. III), St. Michałaka (k. III), K. Chwesiuka (k. II), St. Sadowskiego (k. II), J. Olesiejuka (k. II), J. Oziorę (k. II) i J. Kozaka (k. II).

2) Zastęp II — I L. P. podejmuje się reperacji pomocy naukowych w sali muzycznej i wzywa do pracy Zastęp III.

Gratulacje.

A możeby tak wierszem kropnąć do „Łącznika“, — myślę sobie pewnego spokojnego wieczoru. Pięknie się wszystko składa. Czas jest — aż cztery dni; natchnienie również, a grunt to natchnienie. Poza tem jeszcze małeńka drobnostka, o której nie warto wspominać, to znaczy... chciałem powiedzieć — kazali napisać, a raczej nie kazali lecz przypomnieli...

Tak, wszystko w porządku. Ależ zrobię im niespodziankę, gdy buchnę „rymownym płaczem“!

Cóżto nie stać mnie na to? Niech przekona się szanowna redakcja, ale co redakcja — całe nasze tutejsze i nietutejsze środowiska, że czytałem niepoślednie oezje.

A nawet — kiedy zacząłem o tem mówić, powiem coś więcej: — nieraz wysubtelnione tony poezji do snu mię kołysały... Ach, jakaż to była wzniosłość, jakie błogie ukojenie spływało do mego wnętrza, gdy... po sześciokrotnem przeczytaniu jednego wiersza, pomimo wszystko, usypiałem na wierzchu książki, w której był wydrukowany wiersz p. t. „Szemrząca woda“. Dokładnie nie przypominam sobie autora. Hola! za daleko zajęchałem. Wracam do swej poezji, z jednym małeńkiem zastrzeżeniem: nie będę bujał w przestworzach, lecz zacznę o czemś realnem z naszego życia.

A więc zaczynam:

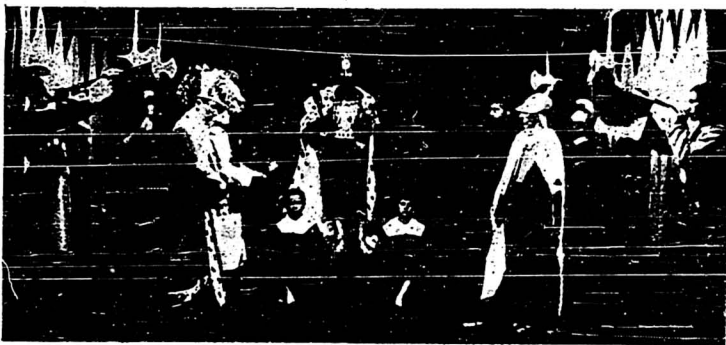
Koledzy, czy mnie słyszycie?
Ho!d składam u waszych stóp!
Niech wasze młode życie
Ciemaem nie będzie jak grób!

Stop muzol! Cóżto wszystko znaczy? Ni przypiąć, ni przyłatać. Dam chyba spokój rymowaniu, bo zamiast powiedzieć wprost o co chodzi zjeżdżam na jakieś manowce. Oczywiście, gdyby natchnienie służyło i po manowcach bujałbym, ale mówiąc otwarcie, choć przykro się przyznawać, utknąłem na tem i dalej ani rusz. Siedziałem może godzinę, może więcej

i to tylko wykombinowałem, że biedny ten człowiek, który chce rymować, a nie umie.

Nie chcę więc być biednym człowiekiem i tym nieskończonym wierszem kładę kres swojej poezji. Miejcie tylko cierpliwość dowiedzieć się chciałem w tym „wierszu“ powiedzieć, z czterowierszowej; bowiem jego zapowiedzi z pewnością niktby się niczego nie domyślił. A przecież chciałem, najrealniej w świecie złożyć gratulację naszym artystkom i artystom „betleemskim“.

A co napisałem? — Nic. Śmieszne to, — co?
Sam się dziwię, czemu zachciało mi się rymować!



Betleem Połskie, — L. Rydla. „Dwór Heroda“. (Akt II).

Zwariowałem czy co? Nad temi kilkoma wyrazami straciłem tyle czasu i nic nie powiedziałem. O, tak! dziś kładę kres wszelkim wierszom i wam radzę koledzy, gdy zapragniecie pisać, zniżcie się do realnej prozy. Skończmy z manją wierszokletów, uratujmy siebie od zguby, pozyskamy wdzięczność wielu, przedewszystkiem naszej redakcji.

Gdzie prawda?

— Koledzy! uwaga! wiecie czego ci „redaktorzy“ od nas chcą? Oto żądają abyśmy do każdego numeru „Łącznika“ dostarczali artykułów.

— E-e-e... to coś nowego... i wcale mi się nie uśmiecha. Czytać, tobym jeszcze czytał, gdyby inni co napisali... ale pisać?! Oo! do tego już całkiem nie mam przekonania, na to mię nie nabiorą. — A od czegoż mamy „Redakcję“? Niech ona pisze i wydaje „Łącznik“, a nas cóżto może obchodzić? — dorzuca inny z boku

— Jakto? niby nie wiecie, że „Łącznik“ ma być odbiciem nas wszystkich, naszych zainteresowań i wzlotów, radości i smutków, boleści i uciech! Zatem kilka jednostek nie może odtworzyć tego, co mogą nam dać prace wszystkich-

S. Jurko — kurs IV.

— No, no, panie z „redakcji“ nie zapalaj się i nie przemawiaj takim górnym stylem, bo wszystko to i tak do niczego nie doprowadzi.

— Nie bój się, nas dla swojej sprawy nie pozyskasz, nie damy się:

— Nie odpowiadaj za wszystkich i nie przesądź rzeczy tak odrazu, bo wiem, że każdy rozsądniejszy uzna za stosowne popierać swoje własne piśmko i weźmie się do opracowywania artykułów.

— Ale czy dużo takich znajdziesz? O! wtem cała filozofja!

— Nie martw się o to. Napewno większość stanie do współpracy z „Redakcją“. Odpadną tylko tacy, którzy będą się bali, aby ich biedny chudziak „mózgowina“ nie spracował się przypadkiem, lub, co gorsza, nie rozwijał się choć trochę. Ale mam wrażenie, że takich jest i będzie niewiele.

Józef Pierlejewski — kurs III

Być lub nie być. (List do redakcji).

Stawiam sprawę na ostrzu noża (szczerbatego niestety.)

Być lub nie być! Doznać raz rozkoszy czytania własnych wypocin w „Łączniku“, lub nie znać jej wcale.

Niejednokrotnie bowiem brałem w drżące ręce „jeszcze mokry“ egzemplarz nowego numeru (oto, by... (wzdycham.) Boże... Boże... Nic i nie.

Pamiętam, że zawsze po podobnych zawodach miałem straszne sny. Jeden z nich pamiętam do dzisiaj. Opowiem.

Otóż po normalnych niedorzecznościach wstępnych snu, wpadłem w dziwne odrętwienie, w którym począłem słyszeć zwolna zwiększający i wzmagający się hałas, stuk i miarowy grzechot. Zupełnie jakby trzaskała maszyna rotacyjna, zsuwały się ciężko kaszty*) i szumiały wiały śmigających kół. Powoli wbijała mi się w świadomość myśl: Jestem w drukarni.“ I rzeczywiście zaraz potem znalazłem się między ludźmi, siedzącymi koło ciężko rozsiadłych maszyn, lub stojącymi przy nożycach, prasach i t. p.

Począłem chodzić między żelaznymi potworami, jak Dante po czeluściach piekielnych. Podeszedłem do jednego człowieka stojącego przy linotypie. Zecer. Począłem się przyglądać jego pracy. Spojrzałem na manuskrypt i... (wszystkie nerwy targnęły mną) zachłysnąłem się z wrażenia. Człowiek ten układał w kolumny i szeregi moje myśli, moje zdania, słowa moje... moje... — Wtem coś gruchnęło, wszystko zawirowało, usłyszałem jakieś oddalone echo piekielnego śmiechu, poczem ciemność mię otoczyła i huczała głuchym warkotem pulsującej przestrzeni. Znow coś woddali błysnęło, zgasło, znow zaświtało, jakiś wir rozkrążył się przedemną i chaos kolorów, smug świetlistych, plam wyblakłych zabłysnął w ciemności. Zwolna wszystko uspokoiło się i nagle tuż przed memi oczami wyrósł olbrzymi, straszny, poczwarny... kosz redakcyjny.

Jęknąłem przeraźliwie i... obudziłem się.

*) Kaszta w gwarze drukarskiej rodzaj szuflady z przedziałkami na czcionki, czcionniki.

Byłem w sypialni. Koledzy trzymali mię za ręce i nogi, jeden ręcznikiem ścierał mi pot z czoła.

... ale wracam do tematu.

Wydrukowanie mojego artykułu byłoby równem w skutku upuszczeniu krwi cholerykowi i pniaczowi. Przecież to tylko zabieg chirurgiczny. Zlitujcie się!

Jeśli ten list nie zrobi należytego wrażenia to... to... chyba znów ześle na was przekleństwo w postaci moich artykułów.

Oby wam przytem śniło się (jak mnie)... że macie 50 tysięcy prenumeratorów, a później.. ukazała się (jak w rzeczywistości) pusta, gruzlicą wieczną dotknięta kasa redakcyjna.

Tadeusz Ignatowicz — kurs IV.

Kontakty.

Wybłądły, zmęczony bezsennością nocą P. siedział w samym rogu wagonu; wtulony głęboko w fałdy wytartego palta zdawał się drzemać, czy też marzyć. Rytmiczne stukanie kół „Expresu“, który w najlepszych warunkach, t. zn. przy pomysłnym wietrze i gdy maszynista nie żałuje „gazu“ robi całe 19 km. (słownie dziewiętnaście km.) na godz. przypominało takt ostatniego walca.

Poił się jeszcze jego czarem, tą tajemną siłą, która zdolna była wyrwać go z koła szarych, codziennych obowiązków i na kołyszących falach muzyki unieść gdzieś, hen, w dziwną krainę marzeń...

A tymczasem sapiąca lokomotywa niesła go w krainę rzeczywistości.

Nawał myśli, pytań i zagadek tłoczył się wciąż do biednej głowy, która, od dłuższego czasu, stała się pastwą rozbestwionej w swych wstrząsach kolejki. A więc to wszystko było tak niedawno — wczoraj! — Sala.. iluminacje.., tłum, nad który wyrasta jedna postać. Czemu ta, a nie inna? Czemu widział ją nawet wówczas, gdy ginęła w zawrotnych wirach licznych par? Czemuż nie mógł oprzeć się urokowi, wiejącemu z przepasanej głębi oczu, tej głębi, której nawet najświetniejszy nurek, z pudem ołowiu przy nogach, nie zdołałby zgruntować?

I czemu wreszcie — — — — —

Dalszą treść śnił już pod skrzydłami Morfeusza.

— — — — —

Przeraźliwy gwizd, gwar, wreszcie dotkliwy cios spadającego pakunku ocknęły go.

Cały urok, cały jakiś nowy, przebogaty, wyśniony świat przysł w jednej chwili. Otworzył oczy. Był sam. Nawpół przytomny udał się chwiejnym krokiem ze stacji Leśna Podlaska (podróźni zechcą kiedy zwrócić uwagę na swoistość tej budowli) do sali, tym razem nie balowej, lecz fizycznej.

Co za kontrast!

Zamiast stołów w obficie zaopatrzonym bufecie widzi stoły zastawione próbowkami, na oknie leżą tafelki szarego, niedawno spreparowanego mydła,

tak różne od tafli czekolady Wedla, elegancko zapakowanych w błyszczące pozłotki. Atmosfera też całkiem inna: zamiast subtelnej woni perfum i wody kolońskiej w organ węchu buchnął zapach siarkowodoru. Westchnął z całego odświeżonego serca i usiadł posepny, jak najdalej od katedralnego miejsca.

— Proszę mi opisać działanie mikrofonu — usłyszał nagle i niespodziewanie skierowane do siebie pytanie.

Mikrofon? Sam rdzeń „mikro“, zrozumiały dla znawców uczniowskiego żargonu, stał się w tej chwili wyrazem jego ustosunkowania się do zadane-go pytania.

— Będzie ze mną „mikro“ — pomyślał, bo wiele na ten temat nie będę mógł, zwłaszcza dziś, powiedzieć. Ale, mam przecie *charakter**) błysnęła zbawienna myśl — ostatnia deska ratunku, więc — — —

— Mikrofon to jest — -- najpierw się mówi, potem się przyciska i..

— Co potem?

— Potem węgiel, tak, węgiel rozpalony.. nie, retortowy dotyka... do... drutu...

Wybuch śmiechu wśród kolegów przerwał dalsze pytanie.

— Tak? I cóż dalej?

— Potem jest dobry kontakt.

— Hm, odpowiedź błędna i niejasna; siadaj i pomyśl lepiej o nawiązaniu kontaktu z fizyką.

Usiadł posłuszny ulgę niosącemu rozkazowi. Zaczął zastanawiać się nad świeżą propozycją nawiązania kontaktu. Znowu kontakt! Z kimżes to? Z fizyką... miły wyraz, podobny w swem brzmieniu do jej imienia. Cha, przez wzgląd na to odmówić nie wypada. Usłuchał. Wkrótce się przekonał, że był to jedyny, dotychczas spotkany rodzaj żeński, który go nie zawiódł...

Kaz---Bor.

Refleksje.

Karnawał dla nas uczniów z podlejszych kursów, już minął. Były zabawy, wesele, radość i śmiech. Minął jednak czas, gdy po wszelkich szatniach, klasach i t. p. ubikacjach gromady żółtodziobów sztuki tanecznej, wpatrzone z zachwytem i podziwem w karkołomne zawroty mistrzów tańca z trudem, potem i mozołem próbowały opanować plątający się im w nogach rytm modnych tańców. Minął czas, gdy uszy puchły od smętnych, melodyj tang, bluesów i t. p. nowotworów, grywanych przez domorosłych skrzypków z namaszczeniem i powagą. Niejeden wówczas obraz spadł ze ściany, niejeden obcas potoczył się w kąt, gdy „polka leśniańska“, lub oberek skakały po szatniach, wywijały kozły, trzęsły podłogami i całym gmachem. Gremjał nie szykowano się na bale (aż dwa). Wydatki zmniejszyły się o 100%^{0/0}, bo trzeba było mieć forszę na zabawę. Kooperatywa miała popyt na kołnierzyki, krawaty, motylki, spinki etc.; lekcje wprawdzie trochę pokutowały, ale z niewielką dla wszystkich szkodą (dwójka nie zając — nie ucieknie).

*) Patrz Encyklopedia „Łącznika“ № 2.

I oto wszystko minęło.

W klasach i szatniach ucichło. Czasem tylko jakiś melancholik gdzieś w kącie westchnie, zanuci rzewnie: „Szkoda twoich łez, dziewczyno“... i umilknie, jakby zawstydzony, że żadne echo mu nie wtórzy.

Smutno!

Tylko podczas wielkiej pauzy codziennie jakieś ożywienie znać na wszystkich twarzach. Zaraz po drugim śniadaniu wybiega z krzykiem cała gromada, pędząc naprzeciw listonosza, który teraz ma torbę mocno wypchaną. Wieniec rozgorączkowanych twarzy otacza go z niepokojem i słucha z napięciem wywołania swego nazwiska, które mu obwieści radosną nowinę. A wnet potem na miejscu zostają tylko zawiedzeni, bo szczęśliwcy już się rozbiegli i gdzieś tam w samotnej ciszy z drzeniem rozrywają koperty.

Tak to upływa nam czas po karnawale. Dał on nam dużo radości, emocji i znikł już dla nas, zostawiając tylko miłe wspomnienia, kilka zmęczonych sekretników, parę dokuczliwych odcisków i... pustą kieszeń.

Tadeusz Kurkowski — kurs III-ci.

KRONIKA.

- 2.II. Po raz czwarty, dla dzieci szkół powszechnych pow. Konstantynowskiego, zostało odegrane „Betleem Polskie“ Lucjana Rydla.
- 8.II. Koledzy kursów: V-go, IV-go i III go wzięli udział w zabawie organizowanej przez Gimnazjum żeńskie im. Emilji Plater w Białej Podl.
- 22.II. Koledzy kursów: V-go i IV-go wzięli udział w zabawie organizowanej przez Gimnazjum męskie im. J. I. Kraszewskiego w Białej-Podlaskiej.
- 23.II Staraniem „Koła Historycznego“ zorganizowany został obchód dziesięcioletniej rocznicy odzyskania dostępu do morza.

Program:

1. Słowo wstępne -- wygłosił p. prof. J. Kowalski.
 2. Deklamacja: „Morze polskie“ — kol. Olesiejuk k. II.
 3. „Dążenie Polski do morza“ — kol. St. Ostrowski k. III.
 4. „Morze a rozwój gospodarczy Polski“ — kol. J. Pierlejewski k. III.
 5. Wyświetlenie widoków Pomorza.
 6. „Nasz Bałtyk“ — odśpiewał chór Seminarjum pod kierownictwem p. prof. Kędzierzawskiego.
 7. „Nie rzucim ziemi“ — odśpiewali wszyscy obecni na akademii.
- 25.II. O godzinie 7 rano odprawione zostało nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. Albina Gładuna absolwenta naszego Seminarjum.

Cena pojedynczego numeru 70 gr. Dla uczniów zamieszkałych w internacie przy Państw. Seminarjum Naucz. w Leśnej Podlaskiej 50% taniej.

Wydawca: Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Leśnej-Podl.

Opiekun: Prof. Br. Lubicz-Nycz.

Redaktor: Mirosław Fligier.